

» W roku 1989 okazało się, że po stronie solidarnościowej nie istnieją ani koncepcje, jak ma wyglądać wolna Polska, ani odpowiednio szerokie kadry przygotowane do jej budowania. Zrezygnowano też z tworzenia takich kadr na szerszą skalę, a rząd Mazowieckiego postawił na fachowców z PZPR w rodzaju Balcerowicza. Po kilkunastu miesiącach nadziei wyszło na to, że wprawdzie w III RP wszystko się zmieniło w stosunku do czasów PRL, ale też wiele, a właściwie wszystko pozostało po starym. I tak powstał Rywinland, państwo, z którym zwykli, uczciwi obywatele znowu nie mogli się utożsamić, wycofując się w prywatność albo marząc o emigracji«

Dobro wspólne czy zło konieczne

ANDRZEJ WAŚKO

Jaki jest dziś stosunek Polaków do własnego państwa, które odzyskaliśmy szczęśliwie przed kilkunastoma laty? - A czy mogliby pan powtórzyć pytanie? Owszem, bo tego pytania prawie nikt dziś nie zadaje. A jeśli już zadaje, to prawie nikt go nie rozumie.

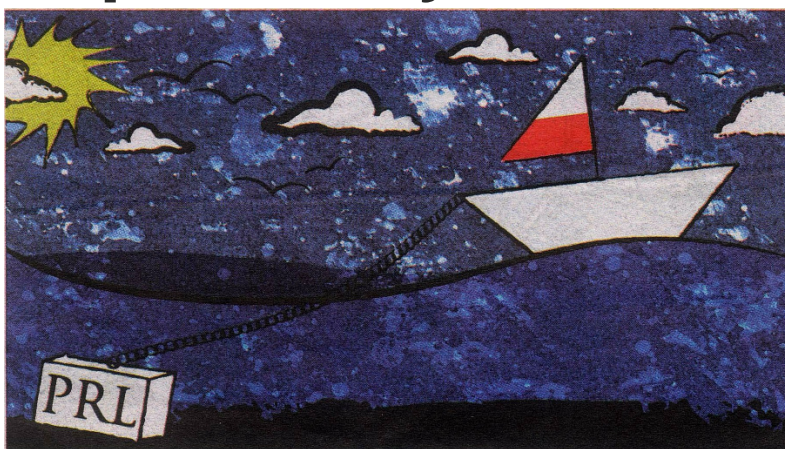
Odpaństwowienie przez kradzież

W naszym stosunku do odzyskanego państwa uderza przede wszystkim brak afirmacji. Jest to stan rzeczy trudny do wyjaśnienia, jeśli wziąć pod uwagę, że nikt nie kwestionuje sensu walki o niepodległą Polskę w przeszłości, a tych, którzy o nią walczyli, nadal powszechnie uważa się za bohaterów. Ale cześć oddawana uroczystości i od święta bohaterom walki o niepodległość, nie przekłada się jakoś na szacunek do tego, o co oni walczyli, a czym my możemy się cieszyć. Jest to sprzeczność tajemnicza, na którą tylko trochę światła można rzucić, analizując spłot realii i rozpowszechnionych współcześnie klisz myślowych.

Zaczynając od tych klisz, zauważamy na przykład, że państwo od lat gra rolę czarnego charakteru w politycznych narracjach liberałów. Odpowiada za to - między innymi - drobny na pozór, ale brzemienny w skutkach błąd w analizie ustroju panującego w PRL. Przed dwudziestą laty Stefan Kisielewski nauczył młodych, że socjalizm to własność państwa i monopol państwa - skodliwy wszędzie, a przede wszystkim w gospodarce. Niestety, w tej potocznej definicji socjalizmu, która się przyjęła, państwo pomyłkowo zostało z socjalistyczną monopartią. Bo w socjalizmie, jak doskonale pamiętają starsi, państwo nie było strukturą autonomiczną w stosunku do partii. Państwo było co prawda nominalnym właścicielem środków produkcji, ale z kolei wyłącznym „właścicielem” państwa... była partia. Realne rządy sprawował więc Edward Gierek jako I sekretarz PZPR, a nie Henryk Jabłoński jako przewodniczący Rady Państwa.

W PRL wiedział to każdy, a Kisiel najpełniej. Ale tak już bywa, że kiedy czegoś bardzo się chce, zapomina się o tym, co oczywiste. Kisiel bardzo chciał prywatyzacji gospodarki, skupiał się więc na formalnej stronie zagadnienia. Ideologia komunistyczna w latach 80. wydawała się martwa, więc definiowanie socjalizmu jako etatyzmu gospodarczego, a nie jako dyktatury ideologicznej, wydawało się rozsądne. Niestety, upowszechnienie tej syntezy przyniosło w III RP skutki, jakich nikt się nie spodziewał.

Skoro socjalizm - to państwo, walka z socjalizmem przybrała postać walki z państwem. Państwo miało „nie mieszać się do gospodarki”, „dać władzę ludziom”, zostać



„stróżem nocnym” itp. W imię tych hasel na początku lat 90. młodzi wyznawcy Korwina-Mikkego gotowi byli godzinami linczować słownie resztę prawnicy za jej rzekomy socjalizm. Ale jednocześnie, w imię tych samych hasel odpaństwowienia gospodarki, prowadzono złodziejską prywatyzację, a niektórzy dawni opozycjoniści bratali się z uwłaszczoną nomenklaturą (co oczywiście, żeby nie być źle zrozumianym, nie było winą ani Kisielewskiego, ani Korwina).

Manna z nieba dla postkomunistów

Ale teza, że socjalizm to państwo, była wręcz manną z nieba dla postkomunistów. Nie tylko pozwalała im przejmować za bezcen należący do państwa majątek, ale i odwracała uwagę od dawnych grzechów partii, zwłaszcza tych popełnionych poza dziedziną gospodarki. Retoryce walki z państwem traktowanym czasem tak, jakby było wyłącznie reliktem dawnego ustroju, towarzyszyła więc w latach 90. efektywna abolicja dla komunizmu jako ideologii antyniepodległościowej i antychrześcijańskiej.

Na ten błąd w analizie ustroju PRL nałożyło się realne dziedzictwo tego ustroju w świadomości i strukturze polskiego społeczeństwa. PRL podzielił nas na obywateli pierwszej i drugiej kategorii. Pierwszą stanowiła „przewodnia siła narodu”, czyli partyjno-ubecka nomenklatura, dla której zarezerwowane były wszyst-

kie wyższe stanowiska w państwie. Taki stan rzeczy trwał na przestrzeni kilku pokoleń. Q, którzy z domu wynosili patriotyczne tradycje, niepozwalające im na przyjęcie legitymacji PZPR, byli już na starcie skazani na życie wyłącznie prywatne. Można było „robić swoje” w ramach wybranego zawodu, na niskim szczeblu, albo udzielać się w parafii. Ważne funkcje państwowe były i tak poza zasięgiem możliwego awansu osób niezdolnych do aktywnej kolaboracji. Nie dostrzegano więc ani szans, ani sensu, aby o nich myśleć. I - co gorsza - aby się do ich pełnienia na wszelki wypadek przygotowywać.

Socjalizm w ciągu czterech dekad skutecznie znacjonalizował i skolektywizował niemal wszystko, oprócz sposobu myślenia porządnym ludzi. Ten bowiem uległ - na odwrót - swoistej prywatyzacji. W PRL ludzie odwracali się od fasadowej i zakłamej sfery życia publicznego. Państwo identyfikowali z partią i traktowali jako narzędzie opresji. „Solidarność” pozwoliła to wyartykułować, ale jej elity nie zajmowały się w ogóle kreowaniem pozytywnej wizji państwa, które mogłoby zastąpić PRL. Za Stefanem Korbońskim przypominano tylko tradycje polskiego państwa podziemnego. Sądziłiśmy wtedy bowiem, jak się okazało błędnie, że jedynie, co nas czeka, to budowanie podziemnego „społeczeństwa alternatywnego”.

Ci, którzy z domu wynosili patriotyczne tradycje, niepozwalające im na przyjęcie legitymacji PZPR, byli już na starcie skazani na życie wyłącznie prywatne. Można było „robić swoje” w ramach wybranego zawodu, na niskim szczeblu, albo udzielać się w parani. Ważne funkcje państwowe były i tak poza zasięgiem możliwego awansu osób niezdolnych do aktywnej kolaboracji. Nie dostrzegano więc ani szans, ani sensu, aby o nich myśleć. I - co gorsza - aby się do ich pełnienia na wszelki wypadek przygotowywać.

niejsze interesy partykularne, wewnętrzne i zewnętrzne.

Cieszyło to także tych, którzy z powodów ideologicznych w Polsce jako państwie narodowym dostrzegali samo zło i uznali je za dziewiętnastowieczny przeżytek. Dla nich mogło być ono tylko przeszkodą w budowie superpaństwa, jakim w przyszłości, wedle tej wizji, ma się stać Unia Europejska. Więc czy w ogóle potrzebne nam jest jeszcze państwo narodowe?

Główne partie po aferze Rywina udzieliły na to pytanie różnych odpowiedzi. I tak jest do dziś. Stosunek do państwa wydaje się jednym z najważniejszych kryteriów podziału na polskiej scenie politycznej. W deklaracjach programowych PiS zdecydowanie stawia na państwo narodowe, podczas gdy Platforma prawie w ogóle nie mówi tym językiem. PiS od lat posługuje się hasłem „nowego państwa”, ma własny projekt konstytucji i mówi o potrzebie zbudowania IV RE Ale w piśmowskim hasle „nowego państwa” akcent padał zawsze na jego „nowość” - przez co w odbiorze społecznym aspekt rewolucyjny programu Jarosława Kaczyńskiego przesłonił niemal całkowicie jego aspekt państwowotwórczy.

Natomiast retoryka Platformy zawsze, a zwłaszcza po przegranej Jana Rokity, była antologią wszystkich wylicznonych tu klisz myślowych, w których państwo jest złem koniecznym albo po prostu złem. I tu jednak pojawiło się pewne małe „ale”, bo Donald Tusk po stu dniach pobytu na urzędzie premiera nieoczekiwanie zaczął rzucać zdania o potrzebie wznowienia władzy i koniecznych z tego względu zmianach w konstytucji.

Zamęt myślowy, który zawsze był konstytutywną cechą mentalności platformersów i zaprzyjaźnionych z nimi dziennikarzy, trwa więc w najlepszym i narasta. W enuncjacjach, które obecnie pojawiają się na forum medialnym, uderza niekonsekwencja. Z jednej strony królkuje liberalne hasło „mniej państwa”. Państwo ma likwidować zbędne wydatki i ustawy, prywatyzować, decentralizować się i „zaufać ludziom”, ograniczając własne możliwości działania i kontroli. Z drugiej strony wyskoczy wychodzą z założenia, że rząd i tak odpowiada za każde najdrobniejsze zdarzenie w dowolnej dziedzinie życia. Media jednym tchem popierają więc zmniejszenie udziału państwa w życiu ludzi i ograniczenie wydatków na administrację, a z drugiej strony chcą, by rząd gwarantował wszystkim bezpieczeństwo, podwyżki płac i ogólną szczęśliwość. Politycznie poprawny dyskurs nasyca się więc swoistą schizofrenią: jest on zarazem i mocno liberalny, i wyraźnie etatystyczny. Wynika to przede wszystkim z faktu, że nasz stosunek do państwa jest po prostu nie dość przemyślany.

cdn.